Eando Binder

Katastrofa na niebie

(Shipwreck in the Sky)

`

Fantastic Universe, March 1954
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Lot zarejestrowany został w kwaterze głównej jako *Projekt Songbird*. Sponsorowały go Laboratoria Medycyny Kosmicznej Amerykańskich Sił Powietrznych. Zaś pilotem który w nim poleciał, był kapitan Dan Barstow.

Dan Barstow, człowiek starannie wyselekcjonowany, wybrany do najbardziej istotnego projektu sił powietrznych w całym roku, ponieważ on i jego VX-3 złamali wcześniej wszystkie poprzednie rekordy hord rakiet V-2, Aerobee Marynarki i jakichkolwiek innych latających po niebie maszyn.

Dan Barstow, pierwszy człowiek, który przekroczył ocean atmosfery i zobaczył otwarty, nieskończony kosmos. Uśmiechnął się do siebie i zanucił coś sobie pod nosem, kiedy poprawił się w fotelu podczas tej długiej podróży. Za bardzo zajęty, żeby czuć zarówno podniecenie, czy też strach, uważnie zajmował się trzydziestoma siedmioma przyrządami, które miał odczytywać, dwa razy większą liczbą rejestrów które miał prowadzić i milami taśmy filmowej, którą miał nakręcić. Był starannie wybrany i pieczołowicie wytrenowany, by robić to wszystko, z nie większym niż dziesięcioprocentowe przyśpieszeniem pulsu. Tak więc pracował równie sprawnie, jakby znajdował się na dole, w centryfudze przeciążeniowej Laboratoriów Medycyny Kosmicznej, gdzie przez całe miesiące był szkolony do tej podróży.

Utrzymywał stały potok mówionych raportów przez radio swojego hełmu, kierowanych na dół do Rough Rock i swojego oficera dowodzącego.

— Wszystko w porządku, panie pułkowniku… temperatura szybko opada, ale ten gumoidowy skafander kosmiczny utrzymuje mnie w cieple, nie czuję w ogóle chłodu… Doktor Blaine będzie zadowolony, kiedy to usłyszy! Wrażenia związane z nieważkością są dosyć dziwne, czuję się ułożony w kierunku góra-dół równie mocno jak w kierunku prawo-lewo, ale nie ma żadnych niekorzystnych efektów… Teraz robię zdjęcia korony słonecznej na kolorowym filmie… słucham? Och tak, panie pułkowniku, jest naprawdę piękna, jeśli już pan o tym wspomniał. Ale, u licha, panie pułkowniku, kto by miał teraz czas na zajmowanie się wrażeniami estetycznymi… Ooops! Ten był naprawdę blisko! Dziesiąty meteor przemknął z dużą szybkością tuż koło mnie. Naprawdę zaczyna mi to przypominać ogień artylerii przeciwlotniczej podczas lotów bombowych na Berlin.

Dan nie mógł nic poradzić na to, że się krzywił kiedy meteory przemykały koło niego całymi stadami. Artyleria przeciwlotnicza kosmosu. W dole widział ich jaskrawe rozbłyski, kiedy uderzały w atmosferę. Większość z tych widocznych w pobliżu jego pozycji było małych, nie większych niż piłka bejsbolowa, i Dan poczuł otuchę na myśl o tym, że jego rakieta także była mała, w porównaniu do otaczających go bezmiarów. Bezpośrednie trafienie byłoby czystym pechem, i stare dobre zasady rachunku prawdopodobieństwa działały na jego korzyść.

— Tak, panie pułkowniku, to blaszane pudło którym lecę trzyma się w jednym kawałku — meldował dalej Dan do Rough Rock.

Gdyby przerwał swój raport choćby na sekundę, wrzask z gardła pułkownika, godny najlepszego sierżanta, szybko poderwałby go do dalszego mówienia. Każdy skrawek informacji, jaki był wstanie przekazać, stanowił witalnie ważną rewelację w tym pierwszym locie eksploracyjnym USAF w otwartym kosmosie, poza poduszką atmosfery ziemskiej, z ciągnącym się w nieskończoność sklepieniem wszechświata nad głową.

— Promieniowanie kosmiczne, panie pułkowniku? No pewnie, odczyty na Geigerze skoczyły dwukrotnie w górę… słucham? Nie, nie czuję zupełnie niczego… tak jak podejrzewał doktor Baird, z góry, zanim jeszcze polecieliśmy w kosmos, wynaleźliśmy sobie wiele najróżniejszych strachów na lachów. Czuję się doskonale, a więc może pan uznać intensywność promieniowania kosmicznego za humbug… O co chodzi? Tak, tak, panie pułkowniku, gwiazdy tu na górze świecą równo, nie mrugają. Co jeszcze? Kosmos ma barwę atramentowej czerni, żadnej głębokiej purpury, czy dziwacznej bardziej-niż-czerni, o jakiej śnili co bardziej rozochoceni pisarze – tylko zwykła, stara, kompletna czerń. Ziemia, panie pułkowniku?.. No cóż, stąd góry wygląda jak wielki talerz, nieco wypukły… No pewnie, że widzę całą część aż po Europę i… zaraz! Jest tu coś niespodziewanego. Widzę ten huragan koło wybrzeża Florydy… To pan to mówił, panie pułkowniku! Kiedy już tutaj na górze zainstalujemy stałe stacje kosmiczne, łatwo będzie spostrzec tajfuny, wybuchy wulkanów, fale pływowe, trzęsienia ziemi i inne tego rodzaju rzeczy, w chwili kiedy powstaną. Jeśli mnie pan o to pyta, to przy pomocy dobrego teleskopu, będzie można dostrzec nawet pożary lasów, w minutę po ich wybuchnięciu, nie mówiąc już o potajemnym ataku bombowym na jakieś miasto… uch, przepraszam, panie pułkowniku, zapomniałem.

Dan przerwał i niemal zwymiotował, kiedy jego żołądek zrobił fikołka największego ze wszystkich fikołków na świecie. VX-3 dotarła do szczytowego punktu swojej trajektorii, na wysokości ponad 1000 mil i teraz skierowała się w dół, początkowo bardzo powolnie. Przełknął łyk tlenu z alarmowej rurki na wardze i poczuł się lepiej.

— Rough Rock, nawrót zgodnie z rozkładem. Wysokość maksymalna 1037 mil. Wszystko w porządku, żadnego zagrożenia. To była betka… HEJ! Czekajcie… Wyskoczyło mi tu coś niespodziewanego… czekajcie na ponowne nawiązanie połączenia!

Dan poczuł, że rakieta odrobinę się zachwiała, dziwnie, jakby pochwycona przez jakąś potężną siłę. Zamiast opadać w dół, ku powierzchni ziemi, pod niewielkim kątem, zaczęła skręcać na boki i obracać się wokół dłuższej osi. Po chwili Dan zobaczył co się stało.

Pod nim, na wysokości 998 mil widać było niewielką czarną planetkę, przecinającą jego trajektorię lotu, poruszającą się z dużą szybkością ponad krzywizną Ziemi. To mógł być jakiś ogromny meteor, ale Dan czuł, że jego pierwsze wrażenie było prawdziwe. Obiekt nie spadał bowiem jak meteor, ale krążył równolegle do powierzchni Ziemi na stałej wysokości.

Wpatrywał się w nieoczekiwane odkrycie, równie mocno zdumiony, jakby zobaczył ziejącego ogniem smoka z legend. Ponieważ, jak to sobie uświadomił w nagłym, oszałamiającym rozbłysku zrozumienia, to co

widział na własne oczy, prawdę mówiąc było czymś znacznie bardziej zdumiewającym niż jakakolwiek legenda.

Dan starał się utrzymać spokój w głosie.

— Halo Rough Rock... Słuchajcie... nikt się nawet nie spodziewał czegoś podobnego... panie pułkowniku, niech pan usiądzie dobrze w fotelu i przytrzyma się poręczy. Odkryłem właśnie drugi księżyc Ziemi!... Acha, dobrze mnie pan słyszał! Drugi księżyc! Zrozumieliście? Jasne, jest malutki, powiedziałbym że ma poniżej mili średnicy. Ma kolor zupełnie czarny. Chyba właśnie dlatego nie dostrzegł go jeszcze żaden z teleskopów. Jest mały i czarny, wtapia się w czarne tło kosmosu. Ma ogromną prędkość. Siła przyciągania tego małego samotnika pochwyciła moją rakietę... oczywiście nie może mnie ona wyrwać z pola grawitacyjnego Ziemi, ale problem polega na tym – cholera! – że moja rakieta mogła się znaleźć na kursie kolizyjnym z tą karłowatą namiastką księżyca.

Wyszkolone oko Dana natychmiast dostrzegło tę ponurą możliwość. Pędzący wokół Ziemi po wąskiej orbicie, z prędkością zbliżoną do 12 000 mil na godzinę lub nawet wyższą, miniaturowy księżyc stwarzał poważne zagrożenie, ponieważ z powodu wysokości jakiej nabrał Dan, wpadał bezpośrednio w tor jego swobodnego spadku. Prawdopodobieństwo bezpośredniego zderzenia należałoby liczyć w tysięcznych, gdyby nie jeden dodatkowy czynnik – karłowaty księżyc dzięki swej masie wielu milionów ton, generował wystarczająco duże przyciąganie grawitacyjne, aby ściągnąć rakietę na swoją trajektorię ruchu. I w ten sposób szanse tysiąc do jednego zmieniały się w pewne pieniądze.

— Pół na pół — meldował Dan, odpowiadając na gorące prośby i pytania z Rough Rock. — To raczej nie będzie zderzenie czołowe. Możemy nawet zupełnie się minąć... O, Boże! Nie przy tej skalnej iglicy, która sterczy pionowo w górę... Trafię prosto w nią...

Dan słyszał kiedyś wybuch bomby atomowej i kiedy rakieta walnęła w skalisty występ, zabrzmiało to jak cała ich seria, odpalonych jednocześnie. Skała rozpadła się. Rakieta rozpadła się także, ale Dana nie było już w środku, a więc nie rozpadł się razem z nią. W krytycznej chwili nacisnął z całej siły odpowiedni przycisk i alarmowy właz bezpieczeństwa rakiety wyrzucił go z niej na ułamek sekundy przed potężnym zderzeniem.

Dan jednak stracił przytomność, dostając częściowo falą uderzeniową eksplodującej rakiety. Kiedy jego powieki rozwarły się gwałtownie, unosił się jak piórko w pozbawionej powietrza przestrzeni kosmicznej. Jego gumoidowy skafander kosmiczny nadął się aż do granic swej elastyczności. Ale wytrzymał, a w jego wnętrzu automatyczne urządzenia dostarczały mu tlen, ciepło i umożliwiały komunikację radiową. Miał teraz szansę, dzięki temu że został czysto wyrzucony z rakiety, bez żadnych uszkodzeń chroniącego go skafandra.

Gwiazdy wirowały szaleńczo wokół niego. Dan w końcu znalazł powód tego stanu rzeczy. Po prostu nie leciał tak swobodnie w kosmosie. Krążył wokół czarnego satelity, na wysokości może tysiąca jardów nad jego poznaczoną dziobami powierzchnią.

— Halo, Rough Rock! — zawołał. — Ciągle żyję i jakoś daję sobie radę, panie pułkowniku. Tyle że teraz, jakby mało było tych wszystkich poprzednich szaleństw, stałem się księżycem tego księżyca! Kolizja musiała mnie zupełnie wyrzucić z mojej orbity zejściowej na Ziemię… zostałem wyrzucony ze statku w tym samym kierunku co kurs tej cholernej skały, w obrębie jej pola grawitacyjnego… Nie wiem. Niech w wolnej chwili spróbuje przeliczyć to mózg elektronowy… W każdym razie teraz ten księżyc ciągnie mnie ze sobą po swojej orbicie – hej, a to co? Tak, panie pułkowniku. Krążę po spirali, coraz bliżej tego karłowatego satelity… Nie, proszę się nie przejmować, panie pułkowniku. To przyciąganie grawitacyjne jest bardzo słabe, jedynie ułamek ziemskiego g. Tak więc zdryfuję na dół łagodnie jak obłoczek. Czekajcie na moje lądowanie na drugim księżycu Ziemi!

Szeroka postać w rozdętym skafandrze kosmicznym, okrążyła jeszcze kilka razy czarną kamienną skałę po zwężającej się spirali i w końcu wylądowała na niej, z lekkim, poślizgowym uderzeniem, które nawet nie spowodowało szczęknięcia zębów Dana. Podskoczył jeszcze kilka razy, zmniejszając w groteskowym zwolnionym tempie wysokość kolejnych skoków, od pięćdziesięciu paru stóp, by w końcu się zatrzymać.

Siedział przez chwilę bez ruchu, przetrawiając fantastyczny fakt tego że rozbił się na nienaniesionym na mapach małym księżycu, uspokajając rytm pulsu i oddechu, które w obecnej chwili mogły przekraczać stan normalny o ponad dziesięć procent.

— Okay, Rough Rock, słyszę was… I pan mi to mówi, panie pułkowniku?… To oczywiste, że tutaj utknąłem. Nie mam rakiety, którą mógłbym odlecieć. Żadnego sposobu, żeby wrócić na terra firma… Co? Proszę mi wybaczyć że to powiem, ale to głupie pytanie… No jasne, że jestem przerażony! Boję się jak cholera. Przepraszam za rakietę, panie pułkowniku, że ją rozbiłem… Ja, panie pułkowniku? Dziękuję, panie pułkowniku. Proszę jednak przestać mnie przepraszać, dobrze? Wiem, że nie mamy żadnych gotowych rakiet VX-3, nie będzie więc rakiety ratunkowej…

Dan słuchał nieco dłużej, zanim ostro przerwał:

— Och, na miłość Boską, panie pułkowniku czy przerwie pan w końcu te żale nade mną? Zostanę już tutaj i kropka. Kostucha równie dobrze mogłaby mnie dopaść również nad Berlinem. Proszę sobie darować… panie pułkowniku.

Dan nagle uśmiechnął się szeroko.

— Posłuchajcie, a co ja będę się tu skarżył i kwękał? Przecież odejdę w blasku chwały – a przynajmniej gazety tak to określą – i zdobędę swoje miejsce w podręcznikach historii, jako człowiek który odkrył że Ziemia ma dwa księżyce! Czy naprawdę mógłbym prosić o coś więcej?

Dan zarumienił się, słysząc odpowiedź z Rough Rock.

— Mógłby pan dać mi spokój, panie pułkowniku? A jakże inaczej mężczyzna miałby przyjąć coś takiego? W głębi duszy ciągle jestem przerażony. Ale, proszę posłuchać, nadal jeszcze mam tu sporo rzeczy do przekazania. Ten mały księżyc pokonuje trasę wokół Ziemi prawdopodobnie w dwie godziny z małym minusem. O ile pamiętam swoje

zajęcia z kosmonautyki przed chwilą spoglądałem z góry na Wielki Kanion, kierując się na zachód. W ciągu następnych dwu godzin dostanę całkiem niezły obraz całego świata z lotu ptaka, a na tyle mniej więcej pozostało mi tlenu… Dobrze się składa, co?

Dan patrzył na dół, z fascynacją obserwując majestatyczny krąg Ziemi. Rozpościerający się pod jego stopami. Mały satelita nie obracał się, a właściwie obracał się raz na jedno okrążenie Ziemi, tak jak Księżyc, odwracając się cały czas jedną stroną do Ziemi, dając mu dzięki temu nieprzerwany widok. Na Ziemi przesunęły przez jego oczami Sierry, a następnie szeroki Pacyfik. Później pojawią się Hawaje, dalej Japonia, Azja, Europa… Nie, zauważył że kieruje się skośnie na południowy zachód. Przeleci nad równikiem, nad Australią, być może gdzieś nad okolicami bieguna południowego i dalej do góry ponad północnym wierzchołkiem planety, koło Grenlandii, zataczając w ten sposób ogromny krąg wokół globu. W każdym razie, była to chyba najszybsza podróż dookoła Ziemi, jakiej kiedykolwiek dokonał człowiek!

— Zanim nie znajdziemy się poza zasięgiem, Rough Rock, mam zamiar zbadać ten nowy księżyc. Ja u boku Kolumba! Czekajcie na dalsze raporty.

Dan poruszał się przy pomocy ogromnych skoków, dzięki którym w każdym kroku pokonywał niemalże bez wysiłku pięćdziesiąt stóp, z powodu ekstremalnie słabej siły przyciągania malutkiego ciała niebieskiego. Ole mógł tutaj ważyć? Prawdopodobnie nie więcej niż uncję lub dwie.

— Nie ma tu zbyt wiele do przekazania, panie pułkowniku. To martwa, pozbawiona powietrza, nieistotna planetoida, prawdopodobnie zwykły gruby na mile odłam skalny. Brak życia, brak roślinności, brak ludzi i brak wszystkiego. Pewnie mógłby pan mnie nazwać Człowiekiem z Drugiego Księżyca – to całkiem zabawne! No cóż, według miernika zostało mi tlenu na godzinę i trzy kwadranse, albo na 105 minut – w ten sposób brzmi to jakby nieco więcej… Co się dzieje, panie pułkowniku? Pański głos zaczyna słabnąć. Jakieś moje ostatnie życzenia? No cóż, może jedna przysługa. Proszę pewnego dnia zabrać stąd moje ciało jakąś inną rakietą… Tak, powinno się zachować w głębokim mrozie kosmosu… Dziękuję, panie pułkowniku… Niespecjalnie pana już słyszę. Wychodzimy poza zasięg. Proszę przekazać Betty serdeczności. Wie pan, tej blondynce… No cóż, panie pułkowniku – teraz już do widzenia.

Dan był zadowolony, że głos radiowy z Rough Rock ucichł, ginąc w szepczącej nicości. Nie było mu teraz łatwo zachowywać spokojny ton. Nie było już nic więcej do powiedzenia, naprawdę, a nie chciał już wysłuchiwać kolejnych płaczów z ust dowódcy. Stary zaczynał brzmieć już niemal histerycznie. Teraz chciał już zostać sam ze swoimi myślami, zawierając swój ostateczny pokój z wszechświatem.

Sprawdził miernik poziomu tlenu z zegarkiem – dziewięćdziesiąt minut powietrza do zera. Albo, pomyślał z szczerząc zęby w uśmiechu, wieczność minus dziewięćdziesiąt minut.

Zaczęło go dławić w gardle. Czuł się jednak strasznie wspaniale, obserwując przemieszczającą się u jego stóp powierzchnię Ziemi, procesję kropek, wysp nawleczonych na Południowe Morza Pacyfiku jak zielone

paciorki naszyjnika. Ciągle był w zasięgu znajdujących się w dole na morzu statków. A jednak nie próbował się z nimi kontaktować. Nie miał im nic do powiedzenia, jak duch w niebiosach.

Leniwie zaczął podnosić luźno leżące kamienie, rzucał je i obserwował jak mkną coraz dalej od niego z prędkością kuli karabinowej. Znowu fenomen słabej grawitacji maleńkiego księżyca. Właściwie, to bez trudu był w stanie wziąć dziesięciostopowy głaz i odrzucić go na sporą odległość. My, którzy mamy umrzeć, zabawiamy się nieco, pomyślał. I wtedy właśnie, ponieważ uparta smużka nadziei ciągle tkwiła w kąciku jego umysłu, dostrzegł pewien pomysł. Przez parę chwil czaił się on tuż poza zasięgiem jego mentalnego uchwytu. Coś ważnego…

Nagle twarz mu się rozjaśniła. Dan włączył radio i skontaktował się z jednym ze statków w dole, prosząc ich prosząc ich o przekazywanie jego sygnału do Rough Rock, przy pomocy ich znacznie silniejszego nadajnika.

— Ahoy, Rough Rock! Niech pan przestanie rachować ile pan zarobi na mojej śmierci, panie pułkowniku! Wracam na Ziemię… Nie, panie pułkowniku, nie postradałem zmysłów. To jest takie proste, że aż śmieszne, panie pułkowniku… Zobaczymy się za parę godzin, panie pułkowniku!

I zobaczyli się.

Dan uśmiechał się szeroko kiedy go wyciągali, ociekającego wodą, z morza. Na pokładzie samolotu poszukiwawczego, wycięli go ze skafandra kosmicznego, do którego cięgle przymocowany był jego podwójny spadochron awaryjny. Hełm zginął mu wcześniej, kiedy rozerwał go aby móc oddychać świeżym powietrzem ziemskim podczas długiego lotu na spadochronie.

Wszyscy wpatrywali się w niego jakby z martwych wrócił do życia.

— Niemożliwe by stamtąd się wydostać? — Zachichotał, powtarzając ich paplaninę. — Ja też tak właśnie myślałem, dopóki nie przypomniałem sobie tych tabel z danymi o sile ciężkości i drugiej prędkości kosmicznej i tego – jak bardzo druga prędkość kosmiczna na Księżycu jest mniejsza niż na Ziemi. A więc, na tym malutkim drugim księżycu… no cóż, miałem pewną wskazówkę. Rzuciłem do góry kamień, a on już nie wrócił.

Dan łyknął gorącej kawy.

— Potem sam również wydostałem się do góry z powierzchni księżyca i wzbiłem się na wysokość ponad mili, uwalniając się w ten sposób spod wpływu jego słabej grawitacji. Ciągle jednak byłem na tej samej orbicie wokół Ziemi, co on. I musiałbym tak krążyć wokół niej, jako jakiś ludzki satelita, gdyby nie ten przeznaczony do użycia w sytuacjach awaryjnych gadżet, który miałem uczepiony u pasa skafandra.

Dan uniósł do góry metalowy pistolet, z pustym zbiorniczkiem i wąską jak igła lufą wypaloną do połowy.

— Pistolet odrzutowy. Strzela hydrazyną i utleniaczem, na zasadzie zwykłego odrzutu rakietowego. Wycelowałem go w gwiazdy, w przeciwną stronę od Ziemi, i dzięki Newtonowi jego odrzutowe wystrzały pchnęły mnie w kierunku naszej planety. Potrzebowałem prędkości około jednej i pół mili na sekundę. Ten mocny, choć mały z wyglądu, pistolet odrzutowy musiał pchnąć tylko moją niewielką masę, przesuwając ją w nieważkości,

bez przeciwdziałania siły ciężkości, czy też tarcia. To wyrwało mnie ze swobodnego spadku wokół Ziemi, zmieniając go na spadek grawitacyjny w kierunku jej powierzchni.

— Zacząłem więc schodzić po spirali pod wpływem przyciągania grawitacyjnego. Dotarłem do gęstych warstw atmosfery, pozwalających na oddychanie, tuż przed wyczerpaniem się moich zapasów tlenu. Jedynym zagrożeniem było, że spalę się jak meteor z powodu tarcia powietrza. Odmówiłem więc najpierw modlitwę, a potem wyrzuciłem podwójny parasol awaryjny, zaprojektowany tak by wytrzymał siłę pierwszego uderzenia. I wytrzymał. Spowolnił mnie do prędkości lotu spadochroniarza, przez resztę mojej drogi na dół.

— Zaraz — sprzeciwił się zaintrygowany pilot. — Pańska historia nie trzyma się kupy. W jaki sposób wydostał się pan z tego karłowatego księżyca? W jaki sposób wzbił się pan z niego na milę w górę, uwalniając się spod wpływu jego grawitacji? Nie było tam przecież nikogo, kto by pana wyrzucił do góry, jak kamień.

— Sam siebie wyrzuciłem — odparł Dan. — Najpierw rozpędziłem się tak szybko jak tylko mogłem. Rozbieg miał długość może nawet i połowy księżyca, żeby osiągnąć dobrą szybkość. A potem…

Szeroki uśmiech Dana Barstowa był niewątpliwie najszerszym uśmiechem w historii ludzkości…

— No cóż, ponieważ jego słaba grawitacja nie była w stanie przyciągnąć mnie z powrotem, to co zrobiłem, można tak naprawdę określić „zeskoczyłem sobie z tego księżyca”.

KONIEC